Nr. 28. We Lwowie dnia 15. lipca 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

FRAGMENTY
DZIADÓW

J. SŁOWACKIEGO*).

Guślarz.

Świece gasną — kogut pieje.
Czas przypomnieć ojców dzieje.

Lud.

Jakieś widmo —

Guślarz.

Kysz!

Lud.

Nie słucha...

Guślarz.

Dziatki! Widmo Króla Ducha
Przyleciało nam na Dziady.

Lud.

A kysz! a kysz!...

Guślarz.

On gromady
Pan... On zaczął ludu dzieje —
Niech zapieje — niech zapieje. [1])

Lud.

Duch straszliwy — stoi niemy,
Twarz zielona — włos płomienny.
Przez ten płomień ciebie klniemy,
Przez ten miesiąc trójpierścienny,
Przez ten ciężki czar i senny,
Przez powietrze parne, krwawe
Klniemy: śpiewaj krew i sławę
Albo precz, odsłonim krzyż [2])

Guślarz.

Milczy i trwa — a kysz, a kysz!...

Lud.

Milczy i krew ściera z czoła...

Guślarz.

Dziateczki, to duch obcy wleciał do kościoła,
Pierwszy raz go tu widzę.

. . . .

Guślarz.

Dziatki, u starych słyszałem rapsodów,
Że on był królem u wielu narodów,
Wszędzie zaczynał od miecza i siły,
Nieraz pioruny w niego uderzyły,
Nieraz go morze krwi w otchłań porwało,
A jak widzicie, nic mu się nie stało.

Król Duch.

Bom nieśmiertelny...

Guślarz.

Mów, przez jakie kary,
Przeszedłeś, abyś z grzechu był obmyty.

---

*) Z autografów poety, ledwie w połowie ogłoszonych drukiem p. t. „Król Duch“, wychodzą tu po raz pierwszy niniejsze urywki, powstałe pod przemożnym i nieprzepartym wpływem „Dziadów“ A. Mickiewicza, które do głębi niegdyś wstrząsnęły synowskiem i patrjotycznem uczuciem twórcy „Kordjana“. (W „Dziadach“ bowiem figuruje drugi mąż ukochanej matki poety w szeregu wstrętnych służalców carskiego rządu). W ostatniej dobie twórczości bólem złamanego poety, kiedy w duszy jego do snu się już ułożyły wezbrane fale żalu i niechęci do wielkiego rywala, rozpoczynał kilkakrotnie rapsody „Króla Ducha“ w tej dramatycznej postaci, ale wnet ją, jako nieodpowiadającą celowi, odrzucał, próbował potem nadać swemu dziełu kształty epicznej powieści w duchu „Pana Tadeusza“, jak to wskazują dalsze urywki, w końcu dopiero wrócił do pierwotnej formy stroficznej. Treścią wiążą się te fragmenty organiczne z rapsodami „Króla Ducha“ za życia i po śmierci poety ogłoszonymi w druku, a obejmują początki dziejów polskich, za panowania Mieczysława, pojmowanego jako wcielenie miecza i sławy.

H. B.

[1]) Przekreślony na tem miejscu wiersz opiewa: „Gdy zaśpiewa, lud struchleje“.

[2]) Ostatni dwuwiersz ten, przekreślony w tekście, brzmi:
„Śpiewaj męki, krew i sławę,
Albo kysz, przepadaj wiecznie.

Czyli cię w piekle wypalały żary,
Czy wiatr gnał, czy mróz, czy step nieprzebyty
Straszną tęsknotą wieczystej podróży
Dręczył, pod mgłami cierpiałeś, lub w burzy,
Lub w zimnie, alboś w ogniu był trapiony.

Król Duch.

Kościół te cztery podaje męczarnie.

Guślarz.

Ale są inne. Możeś cierpiał w ziarnie,
Które spaliło oko błyskawicy.

Król Duch.

Za mną w lesie po karczach
Łamał się upior konny.
Za mną leciał w mgłach straszny, jak kat
[pozgonny

Guślarz.

Dość już zemsty — precz z trumny
Czarnych duchów kolumny!

. . . .

Skończył śpiewak i usiadł, zaraz tłum guślarzy
Schodzi się i nastraja, naradza się, gwarzy,
Boją się wyjawienia świętej tajemnicy,
Drżą i złotego ducha chcą wygnać z kaplicy.
Lecz się młodzieńce budzą — skutek wcale
[dziwny
Pieśń uczyniła, wszelkim rachubom przeciwny,
Tonów miękkość i rytmu jednostajność długa,
Płacz dziecinny, obrzędy święte, król u pługa,
Swatne orszaki, duchem świecące wesele,
Potem widziadła i sny i król na popiele
I straszny sen, od boskich zesłany aniołów,
O jakąś dawną drugą mogiłę z popiołów
Trącający, twórczego ducha obudziły.
Duchy wychodzą z ludzi jasne jak z mogiły
Nad cerkwią miesiąc i mgła, a ci powiadają,
Jak popielni rycerze ciemni z grobu wstają
Pamięcią dawnych hełmów i zbrój nawet skrzydeł,
Jak konie broczą znowu w krwi aż do wędzideł
I znów do piekła szlakiem wracają czerwonym,
Smętne duchy, lecące za królem szalonym.
Inny samego króla widzi ślady końskie
Na globie, jakieś serce dziwne, macedońskie,
Hełm dziwny, oświecony Helady płomykiem,
Jedno skrzydło łabędzie znikło nad Granikiem,
Drugie może na Styksie płomyki zerwały,
Teraz znów są na plecach — Więc Kijowa skały,
Bramy złote, na bramach stal powyszczerbiana,
To tylko pieśń, dwa razy na ziemi śpiewana,
Próżnego brzęku. — Jednak naród zbiegł się,
[słucha
W kącie wieszczki duchowej, dziecinnego ducha,
Ten mówi.

. . . .

Zaledwo duch zakończył, wnet guślarze wstają,
Zielem kadzą, dmuchają na ogień, śpiewają,
Brzmi kaplica, a kądziel zapalona świeci
Łuną na twarzy chłopków, chłopianek i dzieci.
Gdy tak pełno mar, pieśni, wszczęło się i ruchu,
Nowy śpiewak ojczyzny dawnej stanął w duchu
Ton mu podano, on wnet rytm i miarę bierze,
Początek pieśni duchom poświęca w ofierze,
Cicho wymawia pierwsze strofy tajemnicze,
Ku Bogu wznioślszy ducha, ręce i oblicze,
To uczyniwszy, sielską legendę zaczyna.
Wrył oczy w ziemię, pobladł, słucha, przypomina,
Widać, że jakąś gadką, u duchów złowioną,
Chciałby słuch oczarować, a uderzyć w łono.
Uśmiech też ma na ustach — zapewne coś powie
Stosownego do czasu. W cerkwi są panowie,
Studenci i panien wianek siedzi nad mogiłą.

BOHDAN ŁEPKI.

Z ŻYCIA.

II.

Sople.

Leżała na pościeli pod nowym kożuchem i krzyczała, że ptak by nie usiadł na dachu:

— Abo mię dorznijcie, abo mię dobijcie, bo ja już dłużej nie przecierpię!...

Chłop jej, choć słuchał tych lamentów od pół roku, przywyknąć do nich nie mógł. Każde słowo darło go, jak szkło po sercu.

— Co ja ci, niebogo, poradzę? Co ci pomogę? Patrz, Łazarz cierpiał i Paniezus cierpiał, pocierp i ty mało wielo. Może Bóg zlituje się i zrobi z tobą tak, czy owak...

— Abo mię dobijcie, abo mię dorznijcie, abo mię już żywcem do ziemi zakopcie! — już nie krzyczała, ale ryczała, jak zwierz raniony srodze.

Nie ścierpiał. Porwał czapkę i wypadł — córce ino przykazał, by izby nie odeszła, bo nie wie, kiedy wróci... Popędził. Za wsią stanął i dumał: iść, czy do chaty wracać...

Był w mieście u tego lekarza, który ludzi za „Bóg zapłać leczy“ i pytał się go. Pytał się na rozum. A lekarz powiedział, że to jest rak taki we wnętrzu, i że lekarstwa nań niema. Choćbyś obejście sprzedał, choćbyś się pola pozbył, to jej wyleczyć nie zdołasz... Darmo! Nawet książkę lekarską pokazał, gdzie wszystko stało wypisane, jak na dłoni. Musi umierać i szlus... Ale nie sztuka to mówić — sztuka wszystko wysłuchać, wycierpieć! Taż to i bydlęcia człowiekowi żal, a co dopiero swojej rodzonej baby...

Co ino świat miał — radzono mu. On słuchał i robił. I nic nie pomagało. Aż oto naraili mu dobrzy ludzie bożego chłopca w Krzywem, takiego, co to ich tylko dziesięciu jest na całym świecie, i nigdy więcej nie będzie. Więc idzie. Z góry wie, że wszystko daremne. Przecie nie taki znowu głupi, bo i przy wojsku wysłużył i na książkach czyta — i wie, co tam taki chłopczyna poradzić może. Ale idzie dla czystości sumienia.

— Mieliby potem pedzieć: Nie poszedł i umarła...

Wszystkich z chłopkami święto umarłych zgodziło,
Wszystkich pozachwycały stare ojców dzieje
Przy śpiewie wichru, który po lasach szaleje.

. . . .

Skończył śpiewak i usiadł, znów guślarze wstają,
Zielem kadzą, na ogień zagasły dmuchają.
Czerwienieje kaplica. — Ze slazowych pęków
Ogień bucha, dym wstaje, pełny gwiazd i dźwięków.

Znów pierwszy wieszcz powstaje w duchu i [natchnieniu,
Wychodzi z tłumu — siada na świętym kamieniu,
Otworzył usta, wszyscy oczekują nowych
Głosów, ogromnych, ważnych, bolesnych, grzmo- [towych,
Ale on jak duch ciężki naturą wieśniaczą,
Gdy widzi w dzień jesienny, że mgłą lasy płaczą,
A zaledwo gdzie wróbel ćwierka na ugorze,
On zaś, swe ciężkie woły poganiając, orze,
A ciągle z duszą smętną do zamyślań skłonną,
Jednostajną swą piosnkę powtarza pogonną.
Podobnie wieszcz, usiadłszy z twarzą w ziemię [wrytą,
Zaczął z pamięci piosnkę długą, pracowitą:

. . . .

I znowu wstał wieszcz ludu, ale już tą razą,
Błyszczało na nim sine, rycerskie żelazo,
U nóg mała trzyrożna tarcza purpurowa,
W ręku berła i złoty świat, a w hełmie głowa,
Ciemny i mocny, ręce i konia miał jak z cegły
A oczy czarne, na wierzch błysnęły, wybiegły,
Jako te bąble, których pęknięcie przestrasza
Koguta, gdy deszcz szary leje się z poddasza...

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Naturalne a mocne szańce Królestwa czeskiego tworzyły drzewiej olbrzymie lasy, co od szczytów gór pogranicznych idąc, wrzynały się na wiele mil w głąb kraju.

Straże, wyłącznie w tym celu ustanowione, czuwały w onych lasach nad wyrębami, mając jednocześnie powierzone swej pieczy tak zwane „bramy krajowe“*), czyli gródki i okopy, które wznoszono ku obronie ścieżek pogranicznych.

Z biegiem czasu jednak — w XIII zwłaszcza stuleciu, kiedy to obcy osiedleńcy tłumnie cisnęli się do Czech, — sami nawet królowie jęli

*) Custodiae porta. (Przyp. tłum.)

Idzie.

Do Krzywego było mil parę. Zaledwie na wieczór zdążył. Pokazano mu chatkę tego bożego chłopca — zachodzi... Chata uboga, obejście mizerne, dostatków niema nijakich. Otworzył i pochwalił Boga, proszą go siadać. Usiadł i patrzy... Niema go. Tylko dwie kobiety: stara babusia i młodsza, niby córka. Stara pierze skubie, młodsza skrobie ziemniaki.

— Wy do mego Sofrończia? — pyta.

— Do niego — odpowiada Filip.

— Spóźnił się, ale wnet nadejdzie...

— Z chmur czyta... — wtrąciła stara.

— Nie szkodzi. Zaczekam i odpocznę.

Opowiedział, skąd przybył i w jakiej potrzebie.

Potem owa młodsza wyszła, a za chwilę zjawił się Sofrończio. Blady był, chudy, z twarzą, jak jary wosk. Tylko oczy miał wielkie i ogniste. To świeciły się one, to gasły — to gasły, to świeciły, jak owe gwiazdy w noc mglistą. A patrzył się niemi wprost przed siebie na ściany, na obrazy, ino ludzi omijał.

Siadł na ławie, odetchnął i jął Filipowi wszystko mówić: skąd on i czego żąda.

Filip był niemało zdziwiony i patrzył na chłopaka z szacunkiem. Potem tenże na kobiety skinął i one wyszły. Zostali sami. Filipa zdjął strach. Chociaż wyrostek ów był, jak chrząszcz marny, i za tornistrę nie stał, on zaś miał barki, jak wrota i siłę niedźwiedzią, to przecież zdawało mu się, że malec ma nad nimi władzę wielką, i że w dłoni swej drobnej trzyma losy żony jego chorej, i nietylko żony, lecz i jego i całej rodziny.

— Żona wam chora?

— Chora — odpowiedział.

— Boża w tem wola.

Podszedł do okna i patrzał na niebo. A patrzał długo i uparcie, jakby oczami temi jarzącemi chmury chciał przebić, potem zaś misę z za półki wydostał, wody z flaszeczki nalał i na trójnóżku na środku izby postawił. Obok misy dwa lichtarze umieścił, jak w cerkwi na ołtarzu. Potem wodę małym palcem zmącił i patrzał w nią...

Filip dech w sobie zaparł i czekał.

Woda falowała i dokoła brzegów misy krążyła. A on stał nad misą i wpatrywał się w wodę, jakby co czytał. Następnie parę ziarn z za

ekceważyć znaczenie onych lasów obronnych i pozwalali przybyszom trzebić je stopniowo — wedle potrzeby.

Najdłużej i najlepiej zachowała się puszcza graniczna od strony Bawarji, płaszczem zielonym kryjąca zbocza i stopy pysznej Szumawy.

Owoż część onej puszczy szumawskiej, jako też najważniejsze drogi, wiodące tamtędy z Domażlic do Niemiec, pozostawały od niepamiętnych czasów pod czujną strażą Chodów, narodu odważnego serca, a dorodnej postawy.

Wioski Chodów, wznoszone niegdyś na kresach lasów królewskich, budowano w dolinach lub na wzgórzach, bacząc jednak zawsze, aby od linji granicznej przedzielały je wyższe szczyty, niby baszty obronne, ręką przyrody stworzone.

Rozrzucone w sześciomilowym pasie wzdłuż linji granicznej, wioski owe znajdują się i po dziś dzień, przy głównych traktach, przez puszczę wiodących: A więc Lhota i Pocinowice, wysunięte najdalej od Domażlic w kierunku południowo-wschodnim, rozsiadły się w pobliżu wszerubskiego przesmyku. Na północny zachód od nich, koło traktu brodzkiego, stoją: Kiczów, Miodaków, Tłumaczów, Straż, a przy mnichowskim od strony północno zachodniej — Ujezd, Drażenów, Postrzeków, Chodów i dzisiejsze miasteczko Kleniecz.

O jakim czasie Chodowie, harni obrońcy granic, zostali tu osiedleni, nie wiadomo*). To pewna jeno, że obowiązki swe pełnili wiernie i mężnie, już to broniąc podczas zagonów nieprzyjacielskich dróg i ścieżek, już biorąc żywy udział w potyczkach i bitwach, które się toczyły na ich terytorjum lub w pobliskiej okolicy.

Nie ulega niemniej wątpliwości, że pomagali Brzetysławowi pobić w Brodku Niemców na głowę i że walczyli w wielu innych bitwach, zwłaszcza w czasach sławnej pamięci wojen husyckich.

Gdy pokój zapanowywał w kraju, Chodowie *chadzowali* po lasach, pilnując, aby sąsiedzi Niemcy szanowali granice, aby nie polowali bezprawnie w puszczy i nie wycinali drzew. Przy pełnieniu tych obowiązków, zdarzało się Chodom nieraz — jak stare głoszą opowieści — staczać krwawe bitki ze szkodnikami i kłusownikami bawarskimi. Nieodstępnymi towarzyszami Chodów w onem *chadzaniu* i pilnowaniu były psy wielkiej, silnej rasy, a wierną drużką ciupaga[1]) — w późniejszych zaś czasach strzelba, krótka lub długa. Broń nosić wolno im było zawsze, nawet wówczas, gdy uchwały sejmowe pozbawiły tego prawa innych obywateli ziemi czeskiej.

Gdy król raczył zawitać w lesisty ich kraj, Chodowie występowali na jego przyjęcie z bronią w ręku i ze sztandarem, na którym widniała, jako godło, psia głowa*), a złożywszy w darze — wedle starodawnego zwyczaju — sądek miodu, towarzyszyli mu, jako straż honorowa, za granicą.

*) Niektórzy historycy uważają Chodów za potomków Polan, uprowadzonych przez Brzetysława I, do Czech z żupy gdeckiej w Poznańskiem za panowania naszego Bolesława Chrobrego. Jireczek zbija jednak to twiedzenie, dowodząc, że Polanie owi osadzeni zostali w lesie czernińskim, w okolicach Lachowic i Zdic. Kwestja to nierozstrzygnięta. Nikt nie wypowiedział w niej dotąd ostatniego słowa. (Przyp. tłumacz.).

[1]) U Chodów zwała się ona *czekaną* — nie *czekanem*, jak gdzieindziej i godnie bywała nabijana blachą i ćwieczkami.

*) Stąd pochodzi ich nazwa *Psiogłowcy*, po czesku *Psohlavci*. To też i tytuł powieści niniejszej brzmi w oryginale czeskim: „Psohlavci“. (Przyp. tłum.).

---

rękawa wysuł, małym palcem zamącił i znowu czytał:

— Późno przychodzicie, gazdo! Och, późno. Ale wola boska w tem — sprobujemy... Weźcie se skopiec, wymyjcie w wodzie jordańskiej, i kiedy wszyscy zasną, obchodźcie z nim chatę — dwanaście razy. A za każdym razem oderwijcie od strzechy jeden wiszący sopel — i do skopca, i do skopca... A odrywając, myślcie sobie, tak bardzo sobie myślcie, aby równie, jak ów sopel od strzechy, oderwała się choroba od żony waszej... A ino patrzcie pilnie, aby nikogo nie było, nawet psa lub innego zwierzęcia, bo poszłoby to wszystko na marne. A kiedy już tych sopli uzbiera się dwanaście, wstąpcie do izby. Postójcie chwilę na progu; a jak już nieco oślizgną i wodę ze siebie puszczą, idźcie do żony. Nie mówcie do niej słowa, ino dajcie jej tej wody ze skopca się napić i ręce i nogi i czoło trochę obmyjcie. A niech was, jak chce, prosi, to nie mówcie co i do czego. Ino zrobiwszy, jak powiadam, z chaty umykajcie. Uciekajcie bez podwórze, bez sad, bez ogród, na pierwszą miedzę polną, a z pierwszej na drugą, a z drugiej na trzecią... a kiedy już będziecie na dwunastej miedzy — to luńcie skopcem o ziemię i nazad!... Jak łaska boża i zmiłowanie, to może co z tego będzie. A teraz idźcie i róbcie, jako mówię, a nie dziękujcie mi za nic, bo ja nie z siebie, ale z Boga...

Poszedł.

Ziemia pod nogami gorzała, dusza na dwoje wyraźnie rozpadała się.

Jedna połowa mówiła: „Śmiej się z tego i nie wierz. Co on taki może wiedzieć? Zatkaj uszy i czekaj — umrze, to umrze — a nie rób durnia ze siebie. Aboś to baba, czarownica jaka, żebyś ze skopcami dookoła swojej chaty komedje wyprawiał? Chłopie, chłopie, gdzie też twój rozum?“

A druga połowa odzywała się: „No, no, spuść się ino na swój rozum — daleko zajdziesz! Oto, widzisz, i lekarz, choć taki uczony, cóż ci poradził? Chłopak, choć głupi, a przecie coś radzi... Usłuchaj no rozumu! Zobaczysz, co ci potem sumienie powie...“

W końcu ta druga połowa wierzch wzięła.

Przyszedł do chaty. Ciemno. Śpią wszyscy. Znalazł skopiec, wziął — idzie... Jak złodziej wy-

W nagrodę za trudną, z niebezpieczeństwem życia połączoną służbę na kresach, Chodowie korzystali z wyjątkowych praw i przywilejów.

Od czasu, jak pamięć ich sięgała, byli ludem wolnym, nie znali nad sobą pana, królewskiej jedynie władzy podlegając. W obrębie ich posiadłości, szlachta nie miała prawa nabywać ziemi i osiedlać się. Robocizny ani innych obowiązków służebnych, które uciskały srodze lud wiejski innych okolic, Chodowie nie wykonywali nigdy. Wolno im było użytkować — wedle potrzeby — z lasów, których pilnowali, jako też zabawiać się ulubionem myślistwem, ćwicząc siły i zręczność w zapasach z wilkami i niedźwiedziami, w które lasy szumawskie obfitowały nawet w 17-tem jeszcze stuleciu.

Ceł i myt nie opłacali żadnych na całej przestrzeni królestwa, rzemiosła uprawiali bez przeszkód ze strony władz, — mieli też prawo zgromadzać się na wiece i przesiedlać, dokąd im się żywnie podobało.

Własny ich sąd, orzekający na podstawie prawa chodzkiego, zasiadał w każdą czwartą niedzielę na zamku, lub na ich grodzie w Domażlicach. Trybunał ów składał się z mianowanego przez króla „wójta chodzkiego“ i wójtów wszystkich wiosek chodzkich.

Na grodzie domażlickim przebywali najwyżsi urzędnicy chodzkiego kraju: burgrabia, czyli starosta, ów wójt, mianowany z królewskiego ramienia i pisarz przysięgły. Tam, na grodzie, Chodowie przechowywali sztandar swój, pieczęć i przywileje, nadane im przez królów: Jana Luksemburskiego, Karola IV, Wacława IV, Jerzego z Podiebradu i innych. Tam się zgromadzali na ważne narady, gdy zanosiło się na zamieszki w kraju, tam żony ich i dzieci znajdowały czasu wojny bezpieczne schronienie.

Po raz ostatni Chodowie pełnili swoje obowiązki w złowrogim roku 1620, gdy na rozkaz króla Fryderyka czynili *zasieki* na granicy bawarskiej, a w miejscach zagrożonych czujną utrzymywali straż we dni i w nocy.

Wówczas to po raz ostatni nawoływania Chodów odzywały się w przepastnych głębiach puszczy, — wówczas po raz ostatni powiewał nad głowami dzielnych stróży granic czeskich, biały sztandar z żałobnym czarnym szlakiem, ozdobiony głową psa.

Potem — bitwa pod Białą górą obaliła naród czeski. — — —

Fala powodzi, ogólną niosąca zagładę, dosięgała też wolnych gór, zamieszkałych przez Chodów. W czternaście dni po krwawem ćwiertowaniu buntowników na rynku staromiejskim, Karol Lichtenstein, nowy namiestnik Czech, oddał wolnych Chodów za sumę zastawną 7500 złr. radcy dworu, Wilhelmowi Lamingerowi, szlachetnie urodzonemu panu z Albenreuthu. Ów Laminger był jednym z członków komisji cesarskiej, która wydała okrutny wyrok na patrjotów czeskich, wykonany na Starem mieście 21 lipca 1621 roku... W dziewięć lat później Chodowie zostali sprzedani temuż Lamingerowi na wieczną dziedziczną własność za sumę 56000 złr.

Nowy dziedzic nie chciał uznać i nie uznał dawnych ich swobód ani przywilejów, lecz odrazu jął ich traktować jako poddanych, jak niewolników.

Wtedy rozpoczęła się ostatnia, rozpaczliwa, nierówna walka Chodów. Bronili ukochanej wolności przeciw gwałtom i bezprawiu przez lat

---

krada się ze swojej własnej chaty. Stanął na progu, obejrzał się dokoła — cicho... Nikoguteńko! Nawet miesiąca nie widać. Tylko wiater dmie z pola, śnieg zdziera i niesie. Tu zedrze — tam nasypie... Tu zedrze tam nasypie... Bóg wie, po co ta robota... Coś zaszeleściło. Skrył skopiec za siebie i nadsłuchuje... Niema nikogo. To tak wiatr szuści po śniegu odszczepioną gałęzią... Trzeba zaczynać. Biegnie . . . obiegł raz podskoczył, nadłamał sopel· i do skopca... Obiegł drugi raz, nadłamał i do skopca... A serce tak się tłucze, a w głowie taki szum! A po całem ciele, jakby kto żaru nasypał.,. Już dziesiąty, już jedenasty, już dwunasty... Chwałaż ci Boże!

Teraz, choćby kto parę wołów dawał i kazał biedz, choć raz — nie pobiegłby. Lataj sam, kiedyś taki mądry..

Niesie on te sople, jak niewiedzieć co godnego, staje na progu i czeka, by wodę puściły, Obudził żonę, napoił i obmył, wszystko zrobił podług przepisu. Pyta się go, gdzie chodził, kto to poradził i czy nie zaszkodzi... On nic. Jak nie będzie lepiej — powiada — to już gorzej nie. Bo i tak niema jako...

Wypiła, kożuch na niej poprawił — idzie... Znowu staje na progu i słucha. Cichutko... Ino wierzba odszczepiona po śniegu „szu — szu“ i wiatr gwałtowniej zrywa się i miecie śniegiem na wszystkie strony. Tu wyrwie — tam zasypie.,. Tu wyrwie — tam zasypie... Takie zaspy ponanosił, że ciężko od progu ruszyć. I niedawnych śladów nie znać; zaprało je na piekne...

Zaprało i w głowie jego wszyściuteńkie myśli — ostała ino ta jedna: o soplach.

I parła go naprzód w ten śnieg, w tę zawieruchę i wespół z wiatrem w pole gnała, hen — za dwunastą miedzę... Pędzi... A tu śnieg ponad kolana, a tu wiatr, że świata Bożego nie widać.., Otóż i jegu niwka. Tu oni żęli w pierwsze żniwa po ślubie, tu żęli obok siebie i rozmawiali. Pamięta nawet, o czem wtedy gadali... Hej, czy spodział się wtenczas, że tą samą niwką będzie pędził ze skopcem, o północy, jak ta wiedźma na radę...

Minął niwkę, dostał się na pole, które w posagu za żoną otrzymał. Zdawało się, widzisz, że ta niwka z polem, a on z babą — na wieki złączone. A ono, widzisz, nie. Ale poczekaj — są tu jeszcze sople! I przygarnął skopiec, jakby go kto wyrwać chciał od niego, i pędził. Po kolana, po

sześćdziesiąt. A chociaż złudna iskra nadziej i zdawała się im świtać niekiedy u dworu wiedeńskiego, gdzie szukali sprawiedliwości, sprawa skończyła się ostateczną wygraną dziedzica Lamingera, syna jego Maksymiljana.

Chodowie otrzymali wyrok, który pozbawiał ich wszelkich praw, wszelkich przywilejów, skazując ich samych na ***perpetuum silentium!***

Było to w roku 1668.

Jakoż rzeczywiście zapanowało wśród Chodów milczenie grobowe, cisza tak głęboka i zupełna, że przerwać jej nie zdołał nawet rok 1680, gdy w całem prawie królestwie czeskiem wybuchło krwawe powstanie chłopskie.

Milczenie to jednak nie miało trwać wiecznie — Chodowie je przerwali. I tu się powieść nasza zaczyna....

Wizja różana.

Woń słodka czerwonych róż
Słodka woń ciężkich, zwieszonych kwiatów
Majaczy w powietrzu...
Widzę dym sennej, dławiącej woni,
Płynący z każdego zwoja
Ciemnej, czerwonej róży...
Zapach róż przesłania mi oczy i myśli moje pachną różami.
Woń róż okala mi skronie bolesną obręczą
I głowę jak ciężki, — znużony świat pochyla.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Za mocno pachną róże — za mocno...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Woń słodka czerwonych róż,
Słodka woń ciężkich, zwieszonych kwiatów
Mówi coś do mnie...
Jakieś różane, gorące słowa,
Lecą na mnie jak bujny, czerwony deszcz.

— — — — — — — — — — — — — — — —

W pomroczną się słaniam głębinę,
W toń woni zapadam — i ginę,
W mgle woni się grążę — i tonę...
...O róże, o róże — czerwone! —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Heliogabala wieniec już zwiądł...
Skończyła się biesiada,
W krąg cicho — jak po stypie,
Czerwony deszcz wciąż pada,

---

pas zapadał, śmiertelnym potem oblewał — się a pędził, bezustanku pędził. Rachował miedze, by nie zmylić i biegł przed siebie, jak rozhukany koń. Coś go parło, coś popychało naprzód i naprzód... Czasem zdawało mu się, że w skopcu nie sople, a żonina choroba, i nie sama choroba, ale wszystka ich bieda, i że on ją wynosi daleko od siebie — aby już nigdy nie wracała. To znowu przywidywało mu się, że tam, za dwunastą miedzą, coś siedzi... Czarne, szkaradne, czarniejsze od nocy — to ona, jego bieda... A on pędzi, prosto na nią pędzi, z taką mocą, że nic go zatrzymać nie zdoła. Jak lunie w nią czarami uświęconą wodą — to ona ino zawyje, jak pies, i mazią rozleje po polu...

I podwaja siły i pędzi, a pędzi, wciąż, bezustanku... byle ino tam! Już dziewiąta... dziesiąta... coś zaszeleściało... Mignęło przed oczami kuse, jak zając — byle ino zając! Pędzi... jeszcze parę kroków — i jedenasta. Jeszcze parę i... trzask, łomot, szum, jakby się grobla przerwała. W oczach świece...

Tak zastał go leśny, idąc na zasiadkę, pod kamiennym krzyżem w polu, na dwunastej miedzy, licząc od jego niwy.

Krzyż był krwią obryzgany — koło krzyża skopiec — a z niego wysypane sople...

Nie doleciały dwunastej miedzy i nie zrobiły swego...

* * *

Umarła żona Filipa. A kiedy ją grzebali, zeszła się ludzi ćma. Nie tak wedle pogrzebu, bo nawet poczęstunku nie było, jak bardziej, by zobaczyć naocznie Filipa.

Przystąpiło do niego...

Chodził, jak ta odmiana, rozczochrany, z wybałuszonemi oczyma. To śmieje się, to płacze; to płacze, to się śmieje. Sam nie wie, czemu.

A jak ciało wynieśli i w pochód ruszyli — to i on poszedł. W rękach niósł skopiec i już nie płakał, ani się nie śmiał, ino wciąż powtarzał cicho: „Te sople, te sople“!...

Czerwone róże sypie...
W mgłach się dopala świeczników rząd...
— — — — — — — — — — — — — — — —

Od złotych pował leci
Rzęsisty deszcz na stoły,
W czerwonych róż zamieci,
Pół żyję — mrę na poły...
— — — — — — — — — — — — — — — —

Za mocno pachną róże — za mocno...
— — — — — — — — — — — — — — — —

Pod kwieciem mrąc różanem,
O szczęściu śnię straconem,
Wróżebny sen nad ranem,
Ostatni sen — przed skonem.
— — — — — — — — — — — — — — — —

Za mocno biło serce — za mocno...
Nie powiem nigdy nikomu,
Nawet przez sen —
Nie powiem nigdy!
Zawarte poniosę usta i nawet wam nie powiem,
O róże...
Nad mem węzgłowiem
Róż płynie fala,
Fala czerwonych róż...
W pomrok zapadam i tonę,
W toń woni się słaniam — i ginę —
— — — — — — — — — — — — — — — —

Świeczników rząd się dopala
I dymi...
O tem, co ze mną mrze,
Nigdy nikomu nie powiem, nawet przez sen. —
I ty mi —
— Obiecaj, że —
Nigdy nie powiesz — nikomu!
— — — — — — — — — — — — — — — —

W głębinę
Zapadam i tonę —
I ginę...
O róże, o róże — czerwone...

* * *

Zwiędłe róże, krwawe róże,
Niech się waszym tchem upoję,
Niech się w wonne sny zanurzę!
Sny prześnione, róże moje,
Nic nie może — trwać...

Zwiędłe róże, krwawe róże,
Niech mnie wasze tchy owioną.
Niech mną wonne sny owładną!
W toń zamierzchłą, niezgłębioną,
Idę na dno — spać...

D. Mol.

ZARYS PODSTAW SOCJOLOGJI.

(Ludwik Kulczycki: Zarys podstaw socjologji ogólnej. Lwów. 1900. Str. 268).

Autoreferat.

II. W zagadnieniu o roli jednostek wyjątkowych w społeczeństwie: genjuszy, ludzi wybitnych, lub zajmujących wysokie stanowisko — autor ma podwójny punkt widzenia. Z punktu widzenia socjologicznego pomija jednostki niezwykłe dlatego, że socjologia bada tylko zjawiska powtarzające się w rozmaitych społeczeństwach w pewnej fazie rozwoju.

Znaczenie jednostek wyjątkowych nie polega na stwarzaniu niebywałych form społecznych, lub instytucji, będących wyrazem potrzeb ogólnych, lecz na nadaniu im w pewnych szczegółach wybitnego piętna indywidualnego.

Jeżeli więc socjolog może i powinien pomijać jednostki niezwykłe, to historyk i polityk powinni się zachowywać wręcz odmiennie. Autor nie podziela obaw tych wszystkich, co sądzą, że w przyszłem zdemokratyzowanem społeczeństwie zniknie genjusz, oryginalność i t. p.

W miarę rozwoju bogactwa kultury ludzie muszą się indywidualizować coraz bardziej.

Teorja Tarde'a o wszechpotężnym wpływie naśladownictwa jest mocno przesadzoną.

Podział pracy, który jest jednym z najpotężniejszych czynników różnorodności psychicznej między ludźmi, nie zniknie i w przyszłem społeczeństwie. Nie znikną i różnorodne warunki geograficzne.

Jakie warunki bjologiczne umożliwiają zjawienie się genjuszu, nic o tem nie wiemy. Gołosłownem jest więc twierdzenie, że w przyszłości nie będzie geniuszów.

Równie nieuzasadnionem jest twierdzenie, że w przyszłości genjusz będzie niepotrzebny. Zawsze istnieć będą zagadnienia bardziej zawiłe, wymagające szczególnego naprężenia sił umysłowych, na które człowiek przeciętny nie będzie mógł się zdobyć.

Ciągły wzrost indywidualizmu czyni niemożliwym anarchizm, jako ideał społeczny. O ile społeczeństwo jest więcej cywilizowane, o tyle trudniej mu jest samorzutnie spełniać różne funkcje bez praw pisanych, bo jednomyślność staje się niepodobieństwem. Organizacja państwowa jest niezbędną, mogą w niej zajść głębokie zmiany, istota jej jednak nie może zniknąć. Autor nie sądzi również, aby narodowość mogła kiedykolwiek przestać istnieć.

Twierdzenie, że kiedyś w przyszłości powstanie samorzutnie jeden język powszechny, jest zupełnie nieuzasadnione.

Dziś na straży czystości języków literacko wyrobionych stoją szkoły i podręczniki gramatyczne. Dłatego też mowy być nie może o wytworzeniu się drogą mieszaniny językowej jednego powszechnego języka.

Jakkolwiek ludzie w przyszłości będą więcej uniezależnieni od przestrzeni, to jednakowoż narodowość, jako grupa ludzi, związanych wspólnością kultury, tradycji, celów, języka, nie zniknie. Istnienie różnych narodowości jest dodatnim czynnikiem w kulturze ogólnej, wprowadza bowiem rozmaitość i chroni od szablonu i niwelacji. Każdy naród ma swój charakter. Z tego jednak nie można wyprowadzać wniosku, jak to robi Le Bon, że jest on niezmienny, i że ustrój społeczny, instytucje i t. p. są tylko jego wyrazem i nie mogą go zmienić (psychologja rozwoju narodów).

Charakter narodowy nie jest czemś pierwotnem i odrębnem od instytucji społecznych, warunków geograficznych, idej panujących, lecz jest syntezą tych wszystkich czynników.

Dlatego też twierdzenie, że instytucje społeczne, przewroty polityczne i t. p. nie mogą zmienić charakteru narodowego, jest gołosłownym frazesem. Prawdą jest tylko to, że charakter narodowy ulega zmianom znacznie wolniej od instytucji społecznych.

Autor przy pomocy przykładów historycznych stara się tezę powyższą uzasadnić.

Przeciwnicy interwencji państwowej twierdzą, że ponieważ państwo, jako całość, nie może mieć cech odmiennych od składających je jednostek, więc wszelkie reformy, przeprowadzone przez władzę polityczną, nie stwarzają nic nowego.

Twierdzenie to, pozornie bardzo naukowe, przy bliższem rozpatrzeniu okazuje się jałowym ogólnikiem.

Przedewszystkiem w społeczeństwach cywilizowanych jednostki, wchodzące w skład obywateli państwa są o tyle różnorodne, że interwencja państwowa opierając się na tej lub innej ich kategorji, stwarza pewien kierunek życia społecznego, pewien dobór. Skutkiem tego doboru całość zabarwia się odpowiednio. Dlatego też jeżeli prawdą jest, że państwo nie stwarza czegoś absolutnie nowego, czegoś takiego, co obcem byłoby psychice składających je obywateli; to prawdą jest również, że skutkiem różnic między tymi ostatnimi władza polityczna przez swą interwencję może potęgować, lub niweczyć wpływ różnych grup społecznych.

Tylko w społeczeństwach pierwotnych, gdzie psychika wszystkich jednostek jest prawie jednakową, interwencja państwowa nic zmienićby nie mogła. Ale też w społeczeństwach takich nie ma państwa, jako instytucji, wznoszącej się nad społeczeństwem.

W wieku XIX. w przeciwieństwie do wieku XVIII. przemagają teorje o samorzutności rozwoju społecznego, o bezsilności sztuki politycznej, o sankcjonowaniu przez prawo tego tylko, co już jest.

Teorje te są zupełnie bezpodstawne. Autor w rozdziale o formach przeobrażeń społecznych starał się uzasadnić pogląd, że samorzutny rozwój społeczny bez sztuki politycznej nie jest zjawiskiem powszechnem. Twierdzenie, że wszystko, co istnieje, istnieć musi, jest prawdziwe, ale jałowe.

Z pism i książek.

Słownik czesko-polski kieszonkowy.
(ułożył profesor F. A. Hora — Praga 1900 r.).

Przy pomocy czeskiej Akademji umiejętności w Pradze począł prof. Hora wydawać kieszonkowy słownik czesko-polski, którego dotychczas wyszło 5 zeszytów. Potrzeba takiego wydawnictwa dawno już dawała się odczuć i to nietylko ze względów politycznego zbliżenia się dwu bratnich szczepów, ale dla nawiązania ściślejszych niż dotąd stosunków literackich pomiędzy Czechami i Polakami. Samo zrozumienie czeskiego języka, nie przedstawia dla nas Polaków żadnych prawie gramatycznych trudności, a chodziłoby tylko o zrozumienie poszczególnych wyrażeń, ażeby skarby literatury czeskiej starej i bogatej uczynić w oryginale własnością polskiego społeczeństwa. Słownik prof. Hory odda w tym względzie nieocenioną przysługę tym wszystkim, dla których i naród bratni i jego kultura i wspaniałe dźwignięcie się jego z wiekowego upadku nie jest obojętne. — To też wydawnictwo prof. Hory witamy z radością, tem większą, że przychodzi ono na świat w chwili, gdy rozmaici politycy starają się osłabić przyjaźń dwu narodów, które przecież wspólną mają kolebkę kultury.

Sam „Słownik“ wydawany jest nadzwyczaj starannie i wyjdzie w objętości jednego tomu o 60 arkuszach. Pomimo jednak tych szczupłych rozmiarów obejmie on całe bogactwo języka, a niska cena (kosztować będzie najwyżej 9 K.) uprzystępni nabycie jego nawet dla mniej zamożnych.

Szanowny autor liczy na pomoc Polaków, dla których głównie słownik jest przeznaczony, a w tej nadziei z pewnością żadnego nie dozna zawodu.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.